

90587

KRYTYKA LEKARSKA

Wychodzi w d. 1 każdego miesiąca.

—•••—

Rok czwarty.

— 6 —

d. 1 Czerwca 1900 r.

—o—

PRENUMERATA WYNOŚI:

w Warszawie: rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2;
z przesyłką pocztową: rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50.

WARSZAWA.

Druk Władysława Łazarzkiego,
Danilowiczowska 6.

—
1900.

TREŚĆ:

Od Redakcyi.—*Profesor D-r. J. Rostafiński.* Organizacya wydziału lekarskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim w XV w.—*Dr. Władysław Zahorski,* Prof. Józef Frank w Wilnie.—**CCENY:**—*Stanisław Klejn.* Pamiętnik jubileuszowy, wydany ku uczczeniu dwudziestopięcioletniej działalności prof. Edwarda Sas Korczyńskiego przez byłych Jego uczniów. *Stanisław Klejn.* Zbiór prac z kliniki lekarskiej uniwersytetu lwowskiego, pod dyrekcją profesora D-ra A. Gluzińskiego. *Dr. J. Feske.* O najnowszym słownictwie anatomicznem naszym (ciąg dalszy).



KRYTYKA LEKARSKA.

Dr. Ig. Baranowski

Najpierwsze na ziemi polskiej, jedno z najstarszych ognisk, jakie odradzającej się nauce rozniecono w Europie.

Przez lat pięćset oświatę po kraju roznosi i standard nauki trzyma przed narodem.

Wychowała liczny zastęp mężów wielkich w narodzie i w świecie—a na ich czele Kopernik.

Dzisiaj ; nieślabnącą, z żywą zawsze energią spełnia swe świetne zadanie.

Wszelkimi Jagiellońskiej w pięćsetną rocznicę jej odnowienia
swe hołdy wyraża

Redakcja Krytyki Lekarskiej.

Inc 206/53/39

Organizacja wydziału lekarskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim w XV w.

(Rozdział XII większej pracy p. t. *Medycyna na Uniwersytecie
Jagiellońskim w XV w.*)



wa okresy można odróżnić w historii medycyny średniowiecznej; jeden obejmuje prace szkoły salernitańskiej i trwa do zapoznania się Europy na szerszą skalę z arabską medycyną, przez tłumaczenia Gerarda z Kremony. Że takby dzielić należało, przyzna każdy, skoro bez źródeł arabskich nie znalibyśmy ani Celsusa, ani Galena, ani Hippokratesa. Wskutek zaś tych tłumaczeń Salerno przestaje być wyłącznym ośrodkiem

medycznej wiedzy i góruje teraz nad innymi Montpellier, z którym niebawem zaczną rywalizować północne włoskie uniwersytety. Mnogość tych prac arabskich i olbrzymie rozmiary niektórych, jak np. takiego Ibn Sina (Avicenna), sprawiły, że niepodobna było nawet w ciągu kilku lat zapoznać się z nimi wszystkimi i zaczęto robić wybór tego, co każdy doktor, opuszczający uniwersytet, ma umieć. Tak powstała różnica między kursami, które nazywano *ordinaria medicinae*, a wykładami dopełniającymi, bez których można się było przy egzaminie doktorskim obejść. Na uniwersytetach średniowiecznych każdy członek wydziału lekarskiego ma prawo wykładania jakiegoś kursu, jaki w porozumieniu z wydziałem ogłasza i za który godzi się co do czesnego ze słuchaczami. W tem, co może wykladać, ograniczają go tylko bulle papieskie, które w różnych czasach tych lub owych autorów zalecały. I do tych to rozporządzeń odnosi się ustęp naszych statutów z r. 1433, zalecający: „aby do wykładów medycyny doświad-

*) Profesor Rostański na prośby redakcji Krytyki Lekarskiej przyrzekł napisać artykuł o historii wydziału lekarskiego Wszechnicy Jagiellońskiej. Rzecz rosła pod piórem i zmieniła się w obszerne dzieło, które prof. R. drukuje oddzielnie, a którego ustęp naszemu piśmie nadesłał. *Red.*

czonych tylko brano autorów, którzy są korzeniem nauki, źródłem prawdy“. Dla Oetingera ten ustęp statutów ma dowodzić upadku medycyny na naszym uniwersytecie w XV w., w porównaniu z Kazimierzowskim Uniwersytetem. Siedzi mu w głowie, jak ćwiek, z gruntu mylne wyobrażenie, że tamten był świecki, a ten „zmniszony“, że tamten nie potrzebował się więc oglądać na rozporządzenia papieskie! Ale to jego zapatrywanie dowodzi, co gorsza, że chociaż zajmował się historią medycyny, nie wiedział, co też średniowieczni papieże uważali za źródło prawdy w medycynie i za korzeń jej nauki. Gdyby był bowiem zajrzał do bulli Klemensa V (1305 — 1314), byłby się dowiedział, że ten papież, idąc za radą Arnolda de Villanova, zalecał przedewszystkiem studyowanie Hippokratesa i Galena na wydziałach lekarskich. Zaprawdę wybór chyba nie najgorszy.

Dowolne te wykłady członków wydziału lekarskiego mogłyby jednak nie wyczerpywać pełni nauki, wymaganej podczas doktoryzacji, jeżeli uniwersytet znajdował się w mieście, mającym niewielu lekarzy, których praktyka odrywała tembardziej od zawodowego uczenia scholarów. Dlatego w średniowiecznych uniwersytetach są lektorowie, wykładający stale *ordinariae medicinae*—albo wybierani na całe życie i rocznie płatni, albo wybierani stale, ale płaceni za wykłady co półrocze, przez wydział lekarski.

Widzieliśmy, że statut Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego ma dwu lekarzy stale wykładających i pobierających za to po 20 grzywien rocznie. To znaczy, że obok tych nielicznych lekarzy, którzy wówczas mogli być w Krakowie, oni mieli obowiązek w ciągu pewnego szeregu lat wyczerpać całość nauki lekarskiej, wymaganej od przyszłego lekarza. Zwróciłem już uwagę, że, wobec upośledzenia wydziału filozoficznego, jeden z tych lekarzy wykladał zapewne obok astrologii i astronomię, z której filozofowie mogli korzystać.

Skoro dzięki ofiarności i podniosłej myśli królowej Jadwigi i za staraniem jej małżonka powstawał w r. 1400 Uniwersytet Jagielloński, stosunki mogły być odmienne, mogło być więcej lekarzy w Krakowie, niż za czasów Kazimierza Wielkiego, wydział lekarski mógł być od razu liczniejszy. Zobaczmy, jaka była jego organizacja. Ale powiedzmy z góry, że takie postawienie kwestyi, jak ją postawił Oetinger, to jest, że na Kazimierzowskim Uniwersytecie jest dwu profesorów, a na Jagiellońskim jeden, tylko więc na tym drugim medycyna jest upośledzona, jest z gruntu fałszywe, bo nie bierze w rachubę wykładow innych członków wydziału lekarskiego. Tu nie rozchodzi się o to, czy był jeden profesor stale płatny, czy było takich dwu, trzech czy pięciu, tylko o to, w jaki sposób uniwersytet starał się zapewnić pełnię wykładow na wydziale lekarskim słuchaczom medycyny.

Wszystkie akta wydziału lekarskiego splonęły podczas pożaru,

który w XVIII wieku zniszczył kolegium prawników i medyków, znajdujące się przy ulicy Grodzkiej. Zachowały się w odpisie statutu wydziału lekarskiego z lat: 1431, 1525, 1536 i inne źródła, ogłoszone w części przez J. Majera. To, co tu powiem, opiera się w części na znajomości ustaw obowiązujących wydziały medyczne na obcych uniwersytetach, które to ustawy, chociaż się pomiędzy sobą różnią w szczegółach, przecież są podobne w ogólnych zarysach i tak są stałe, że Montpellier, za czasów Rabelais'go, rządzi się jeszcze statutem z r. 1340. Po za tem wyzyskałem w r. 1887 nietylko *Rectoralia*, to jest zapiski sądów rektorskich, wydane obecnie znakomicie przez p. W. Wisłockiego (*Acta Rectoralia Almae Universitatis studii Cracoviensis inde ab 1469^a. Cracoviae 18⁹³ - 1897*), ale daleko ważniejsze uchwały pełnych zgromadzeń rady uniwersyteckiej (tak zw. *Conclusiones*, znajdujące się w Archiwum uniwersyteckiem, Nr 33), zaczynające się od r. 1441, których Majer nie opracował, oraz różne inne źródła, chociaż nie wszystkie, tak, że w przyszłości niejedynemu szczegół da się jeszcze odkryć.

Wiemy już, że wydział lekarski powstał współcześnie z założeniem Uniwersytetu, że pensya profesora zwyczajnego medycyny, który się nazywał *lector ordinarius in medicina*, wynosiła 20 grzywien, oraz, że pobierał 4 grzywiny na mieszkanie. Katedra, którą zajmował, była fundacyi królewskiej, i ta okoliczność sprawiała, że tak w XV w. jak i później, skoro będzie więcej katedr medycznych, on, chociaż większych praw od innych kolegów nie posiada, przecież jako *collega major* zażywa nie tylko na wydziale, ale i na Uniwersytecie, wobec innych kolegów większego znaczenia.

Mogę podać listę profesorów medycyny, którzy tę katedrę królewskiej fundacyi zajmowali. Pierwszym takim zwyczajnym profesorem mógł być Mikołaj z Ostrowa, na pewno był później przynajmniej od r. 1426) Jan Saccis de Papia, jego może bezpośrednim następcą był Jan z Dobrej (1441—1447), a potem idą już pewną koleją: Bernard Hesse (do r. 1464), Piotr z Gaszowiec (do r. 1474) i Jan z Reguł (do r. 1514).

Jeżeli profesor zwyczajny, będąc złożony chorobą, albo wezwany do jakiegoś dostojnego pacyenta, nie mógł całe półrocze wyklądać, to powinien był dać płatnego przez siebie zastępcę, na którego by się Uniwersytet zgodził. Jeżeli tego nie zrobił, jak np. pewnego razu Jan z Reguł, na którego jest nie jedna skarga, że zbyt długo bawi u boku króla jegomości, to Uniwersytet zatrzymywał mu pensyę i płacił z niej zastępcę, wynagradzając tego zastępcę za każdą wyłożoną godzinę, żeby mieć gwarancję jego pilności (*Conclus.* 63).

Statuta z r. 1433 nie mówią szczegółowo, jakie wykłady mają obowiązywać słuchaczów medycyny, ale mówią o pięcioletnich studyach. Nic pod tym względem nie zmieniło się w XV w., bo o pięcioletnich studyach mówi też ustawa o zagranicznych lekarzach z roku 1515 (*Con-*

clus. p. 114 — 117). Kto zna zakres średniowiecznej medycyny XV w., temu nie przyjdzie nawet na myśl, żeby jeden człowiek mógł podołać wykładom, obowiązującym przyszłych medyków, nawet na jakimś małym uniwersytecie, a cóż dopiero mówić o naszym Jagiellońskim, mającym pełnię średniowiecznej nauki, sławnym na całej północy i ściągającym cudziemięców ze wszystkich sąsiednich krajów naszego państwa.

W jakim sposobie zaradzono tej potrzebie? Któż obok profesora zwyczajnego czytał na wydziale lekarskim?

Ze statutów 1433 roku wiemy już, że wszyscy lekarze, którzy bądź ukończyli wydział lekarski w Krakowie, bądź, ukończywszy medycynę na obcych uniwersytetach, zostali tu nostryfikowani i inkorporowani, stanowili jedno ciało wydziału lekarskiego i że w tym ciele każdy miał swoje ściśle oznaczone miejsce.

Wiemy też, że każdy doktor medycyny, raz wpisany na listę członków wydziału, miał prawo wykładania medycyny na Uniwersytecie. I jeżeli na zgromadzeniu uniwersyteckim, zwołanem przez rektora Jakóba Parkosza z Żurawic 30 czerwca 1441 r., występuje pięciu lekarzy, t. j. Jan z Dobrej, Jan z Ludziska, Jan Kro z Chociebuża, Marcin Wincenty ze Świdnicy, oraz Tomasz, syn Jędrzeja z Amalii, to są to, mojem zdaniem, właśnie ci z ówczesnych członków wydziału lekarskiego, którzy w owym roku medycynę wykładali i byli egzaminatorami bakałarzy, licencyatów, oraz doktorów. Także taki ślad zwyczajnych wykładów medycznych znajduje się w późniejszych uchwałach uniwersyteckich. Mianowicie 30 kwietnia 1464 r. postanowiono, że w *Collegium novum* (na ulicy Brackiej) mają czytać prawnicy i tam także mają się odbywać *ordinaria medicinae*, oraz wykłady bakałarzy.

Cóż jednak mogło skłaniać członków wydziału lekarskiego w XV wieku, żeby ich wykłady bywały stałe i dopełniały całości wykładów zwyczajnego lektora medycyny? Dowiadujemy się o tem z bardzo późnego czasu, ale w sposób, dający jasne o rzeczy wyobrażenie.

Oto przed r. 1492 dziekana wydziału medycznego nie wybierano corocznie tak, jak na innych wydziałach, i nie wybierano go z pośród wszystkich członków wydziału lekarskiego, to jest lekarzy w Krakowie praktykujących, ale wybierano go tylko z pomiędzy tych, którzy medycynę na Uniwersytecie wykładali. Widzieliśmy, że w r. 1441 było ich czterech, oprócz zwyczajnego profesora. Liczba ta mogła się wahać, ale zawsze ściągała lekarzy do wykładu nadzieją otrzymania intratnej posady dziekana. I chociaż druga katedra medycyny powstała dopiero w r. 1505, to przecież więcej było wykładających lekarzy, niż *lector ordinarius*.

W roku 1492 z powodu bardzo już wielkiej liczby lekarzy, należących do wydziału lekarskiego, zmieniono ten zwyczaj, że dziekana wybierano tylko z pośród lektorów medycyny. Postanowiono, że będzie

wybierany corocznie tak, jak na wydziale teologii i na prawnym, według starszeństwa listy członków lekarskiego wydziału. Zdaje się, że Uniwersytet, uchwalając taką zasadę, nie opatrzył się, jakie to pociągnie za sobą konsekwencje. Teraz lektorów wydziału lekarskiego przestaje nęcić nadzieja zostania intratnym dziekanem. Wykładają, ale wykładają to, czego słuchacze są ciekawi, co może im przynieść większe czesne. Całość wykładów medycznych jest na szwank narażona. Wobec tego Uniwersytet zastanawia się już w r. 1494 nad potrzebą opłacania drugiego profesora medycyny. I niebawem takiego drugiego lektora zaprowadza, chociaż druga katedra medycyny powstaje dopiero w r. 1505.

Ale te kursa zwyczajne i specjalne wykłady członków wydziału nie obejmują całości wykładów na średniowiecznym wydziale lekarskim. Wszędzie obowiązuje takie prawo, że jeszcze nie upieczony bakałarz wyklada na wydziale dla swych młodszych kolegów i odbywa dysputy. Również i przyszli licencyjaci byli do nich obowiązani.

Streśćmy się. Organizacja wydziału lekarskiego w XV wieku jest taka. Wydział składa się ze wszystkich lekarzy, zamieszkałych w Krakowie i diecezji krakowskiej. Od początku istnienia Uniwersytetu jest *lector ordinarius in medicina*. Z pomiędzy członków wydziału tylko ci, którzy są *lectores medicinae*, mogą, do roku 1492, zostać dziekanami wydziału, i to ich wyłączne prawo zapewnia pełność wykładów medycznych do roku 1492. Następnie jest drugi *lector*, stale płatny przez uniwersytet.

Wydział rządził się statutami. Doszły nas w odpisie nie pierwotne, ale późniejsze statuty, które na zgromadzeniu, zwołanem z woli kanclerza Uniwersytetu i biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, za rektorstwa Tomasza ze Strzępina, zostały odczytane przez ówczesnego dziekana wydziału lekarskiego, Jana Saccis de Papia, wobec doktorów i dziekanów Uniwersytetu w dniu 19 stycznia 1433 r., a po dopełnieniu zostały w ostatniej redakcyi przyjęte na takim samym zgromadzeniu 23 lutego 1433 r.

Oprócz ogólnych zasad, o których już powyżej mówiłem, znajdujemy w nich jeszcze cały szereg postanowień. Jest więc mowa o tem, że lekarz powinien dbać nie tylko o fizyczne zdrowie chorego, ale w danym razie, wobec śmiertelnej choroby pacjenta, nie zapominać i o potrzebie jego duszy. Jest zobowiązanie, aby lekarz nie przyrządzał trucizny i lekarstw na poronienie. Nader ważny jest ustęp — na który się niebawem powołam w przyszłym rozdziale zawierający obok postanowienia, że do studyowania medycyny potrzebne jest ukończenie wydziału filozoficznego, dodatkowe zdanie, tak brzmiące: „ten co otrzymał stopień nauk wyzwolonych, niech się samym lekarskim tylko obowiązkom oddaje, jeśli doktorat otrzymać pragnie“, to znaczy, że magistrowie,

chcący studyować medycynę, nie powinni mieć innych zajęć, np. wykładów na wydziale *artium*.

Co do doktoratu powiedziano, że kandydat ma zdawać egzamin przed dziekanem i doktorami, a następnie na posiedzeniu wszystkich członków wydziału będzie rozbiekana kwestya przymiotów ciała i duszy, oraz zachowania się wobec starszych; jeżeli kogo uraził, ma go przeprosić. Doktor, otrzymując stopień, zobowiązywał się szanować swego promotora, przestrzegać dobra uniwersytetu i nie doktoryzować się na innym uniwersytecie; wobec zaś swoich pacjentów miał być, krótko mówiąc, zacnym i nie zdradzać powierzonych sobie tajemnic. Ciekawy jest przedostatni ustęp, w którym mowa o tem, że majątni ludzie (u nas w r. 1433) mają zwyczaj „dla jakiejś okazałości“ wzywać wielu lekarzy. Ze względu na tę okoliczność statuta zobowiązują przyszłych doktorów do etyki koleżeńskiej i zawierają bardzo mądry przepis, aby w konsyliach zdanie tego lekarza przeważało, do którego chory ma najwięcej zaufania.

Różne bywały posiedzenia wydziału. Cały wydział zgromadzał się nie tylko w razie wyboru dziekana i mającej się odbyć doktoryzacyi, ale dwa razy na semestr. W naszym Uniwersytecie semestr letni zaczynał się na *St. Georgi* (24 kwietnia), a zimowy na *St. Galli* (16 października). Przed początkiem półrocza musieli się zebrać wszyscy członkowie wydziału, żeby postanowić, co i przez kogo ma być wykładane. Przypuśćmy, że koło r. 1490 dziekan zwołuje takie posiedzenie i wyobraźmy sobie, jak się ono odbywa. Jan Wels z powodu podeszłego wieku już nie wyklada, ani znakomity Jan Ursinus, bo, choć lekarz i do wydziału lekarskiego należy, jest profesorem na wydziale prawnym. Naprzód więc *ordinarius* Jan z Reguł zawiadamia, że w przeszłym półroczu będzie wykladać pierwszą część IV księgi Avicenny o gorączkach, oraz praktykę młodszego Serapiona, potem drugi *lector*, doktor Jerzy z Drohobycza, oświadcza, że będzie czytał w dalszym ciągu Galena. Aforyzmy Hipokratesa powierzono wykladać doktorowi Janowi z Bazylei. Jan Stanko, jako specjalista w simpliciach, zapowiedział prywatny wykład *Super Antidotarium Nicolai*, a potem inni lekarze zapowiadali drobniejsze *privatissima*, ale nie gratis! Zgodzono się, że medycy mają chodzić na wykład astrologii Wojciecha Krypy. Potem zastanawiano się, co mają czytać licencyjaci i bakałarze: Stanisław z Krakowa, Bernard z Biskupiego, Mikołaj z Nasienkowicz, Stanisław Selig i inni. Dziekan odczytał listę zapisujących się na medycynę magistrów, oraz zawiadomił wydział, kogo każdy z nich wybrał sobie na *patra*. Bo to był taki średniowieczny zwyczaj, że każdy student miał jednego z lektorów za swego opiekuna. Ten *pater* przez cały ciąg studyów medycznych miał swego magistra na oku. Skoro ten ostatni został bakałarzem, nadzorował go *pater* w dysputach i brał z sobą na praktykę. A skoro bakałarz został licencyjatem i mógł

sam porać się z małą praktyką, musiał odwoływać się w każdym trudniejszym przypadku do *patra* i szukać jego rady. Nie było to zawsze wdzięczne zadanie, zwłaszcza jeżeli uczeń był krępki i na grosz równie jak *pater* łakomy. Bo czyż imci pan Mikołaj z Tuliszkowa, bakałarz medycyny (w początkach XVI w.), nie nazwał na sądach rektorskich, swego *patra* Jana z Ostrzeszowa: psem, blaznem, zuchwalcem i nie twierdził, jakoby on z Włoch osłem wrócił (*Conclus.* 91)?

Ale pan dziekan ujmuje za dzwonek i przywołuje mnie do porządku, bo odbiegłem od właściwego toku obrad. Przecież dziekan musi jeszcze odczytać wszystkie w zeszłym półroczu przez studentów wysłuchane *ordinaria*, oraz wykłady prywatne innych lektorów, a nawet sprawozdania bakałarzy, kto ich słuchał, bo i te prelekcyje liczyły się do spisu wykładów, które przed doktoryzacją licencyata zestawiano.

Potem szło sprawozdanie z odbytych egzaminów na bakałarzy, na licencyatów, doktorów. I... bardzo interesujące sprawozdanie o stanie kasy wydziałowej.

A potem narzekano na złe czasy, na małą ilość słuchaczy w ostatnim półroczu, skarżono się na krnąbrność i zuchwalstwo tego lub owego. Jerzy z Drohobycza opowiada o bezczelności dwu Węgrów: Pawła z Firthut i Andrzeja, którzy zapisali się w zeszłym półroczu na jego reasumpcyę z astrologii, którą prywatnie ogłosił, i niechcieli mu zapłacić czesnego, pod pozorem, że wykład ten kolidował z innym obowiązującym. Nie pozostało mu nic innego, jak zaskarżyć ich przed rektorem, i w tym celu wybrał już sobie na sądy rektorskie jako prokuratora Wojciecha z Pniów (*Rectoralia* p. 407).

Wreszcie sesya skończona, zacni i dostojni doktorzy zaczęli się rozchodzić i rozjeżdżać. Kto był dość zamożny, miał powóz (można taki z XV w., widzieć w znanym kodeksie Bibl. Jag. Baltazara Behem nr. 16 pg. 265, gdzie jest karta cechu kołodziejów i pojazdników). Patrzano też z zazdrością na powóz Jana z Reguł, zwyczajnego profesora medycyny i lekarza królewskiego, zaprzężony w parę pysznych siwych woźników, których grzywa i ogony, kwoli większej okazałości, były ufarbowane czerwcem na karmazynowo. Młodzi *lectores* mówili sobie: Regulczanki niczego-dziewczyny, dobrze by było dostać córkę, posag, protekcyę ojca, a po jego śmierci może odziedziczyć po papie katedrę zwyczajną i praktykę. Rzeczywiście jedna z nich, Beatka, tak wyszła za imci pana Łukasza Noskowskiego, o którym niebawem będzie mowa.

Dziekan zwoływał też cały wydział w razie zamierzonej doktoryzacji dla rozpatrzenia naukowych, fizycznych i moralnych przymiotów licencyata, zapraszał członków wydziału 27 września do Franciszkanów na Mszę św. w dzień patronów medycyny św. Kosmy i Damiana. Widzimy ich na rycinie otoczonych aureolą, z symbolami średniowiecznej

medycyny, naczyniem z uryną oraz słojem z wódką, jaką przyprawiano każde lekarstwo.

Dziekan schodził się częściej z lektorami, żeby pomówić o postępie uczniów, postanowić z nimi, kiedy się ma odbyć jakiś egzamin, kiedy rozpatrzenie świadectw zgłaszającego się do inkorporacji kolegi. Ten ściślejszy wydział tworzył jakby komisję egzaminacyjną. W danym razie wzywano jeszcze tego lub owego poważniejszego członka wydziału, lub kilku członków, żeby się naradzić nad jakąś ważną sprawą, obchodzącą wydział, zwłaszcza jeżeli doszło do nieporozumienia z rektorem, a co gorsza, z całą radą uniwersytecką.

Z XV w. mamy koło pięćdziesięciu nazwisk lekarzy, związanych z Uniwersytetem Jagiellońskim. Nie mam zamiaru podawać ich biografii, nie wyczerpałem wszystkiego, niejedno może da się jeszcze wyszperać. Powiem tylko ogólnie, że nieraz o wybitnych ludziach posiadamy mało wiadomości biograficznych, chociaż wiemy z kodeksów, będących niegdyś ich własnością, jak byli znakomici — przeciwnie, o jakichś bardzo podrzędnych figurach wie się stosunkowo wiele. Wspomnę najwybitniejszych w ostatnim rozdziale.

Profesor Dr. J. Rostafiński.

PROFESOR JÓZEF FRANK W WILNIE.

*Rzecz czytana na 1000-em posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego Wileńskiego
12/24 Listopada 1899 r.*

przez

D-ra Władysława Zahorskiego.

(Dokończenie).

Dla młodzieży uniwersyteckiej był Frank nie tylko nauczycielem, lecz i przyjacielem. Każdego ze swych uczniów starał się dobrze poznać, wyróżniał zdolniejszych, zachęcał do pracy, udzielał wskazówek i kurował. W celu wywierania większego wpływu na młodzież, urządził u siebie wieczorki, które właściwie były niejako dalszym ciągiem wykładów. Tu odczytywano nowe artykuły i prace lekarskie, roztrąsano je, krytykowano i dysputowano, nie krępując się obecnością profesora. Te wieczorki urozmaicał Frank muzyką, śpiewami, a czasem i tańcami. Nieraz odwiedzał studentów w mieszkaniach, dla uboższych wynajdywał korepetycyje lub inne zajęcia, albo wprost pod różnymi pozorami dopomagał z własnej kieszeni. Nie dziw więc, że

młodzież ubóstwiała Franka i nie ominęła żadnej sposobności dla okazania mu swego uwielbienia i czci. Urządzała mu owacye i serenady, gdy zaś w roku 1823 opuszczał nazawsze Wilno, nie mogąc się zgodzić na zmiany, zaprowadzane w owym czasie w Uniwersytecie, wszyscy studenci postanowili odprowadzić go daleko za miasto.

Powstrzymał ich jednak Frank od tego zamiaru, obawiając się, aby władza i zwierzchność uniwersytecka nie poczytała studentom tego za złe.

Za to z kolegami profesorami stosunki Franka nie były tak różowe.

W czasie, kiedy Frank przybył do Wilna, w Uniwersytecie walczyły ze sobą dwie partye: polska i niemiecka. Niemcy użyli wszelkich środków, aby zyskać we Franku sprzymierzeńca, spodziewając się, iż będą w nim mieli broń potężną, ponieważ wiedzieli, iż był mile widziany przez cesarza, jak również, że ojciec jego, jako lejb-medyk Aleksandra I, cieszył się wielkiem zachowaniem w Petersburgu i posiadał wpływy u dworu. Atoli Frank nie przystał na propozycyę, czynionę mu przez partyę niemiecką, powiadając, że nie ma zamiaru należenia do żadnego stronnictwa, zaś chce kochać i służyć narodowi, wśród którego mu żyć sądzono. Zniechęcił tem ku sobie profesorów Niemców. Lecz i pomiędzy kolegami polakami nie znalazł przyjaciół, stworzył sobie nawet licznych wrogów, ponieważ nie krępował się w krytykowaniu porządków uniwersyteckich, rektora i profesorów, którym wyrzucał nieuctwo, lenistwo i opieszałość. Historia z listem do księcia kuratora, który Czartoryski przesłał rektorowi Janowi Śniadeckiemu, ostatecznie oziębila stosunki między Frankiem i profesorami. Nie pomijali też sposobności zrobienia mu przykrości. Tak, profesor fizyologii August Becu (ojczym J. Słowackiego) wpłynął na rektora, aby nie dopuścił do obrony rozprawy Colignon'a, napisanej pod kierunkiem Franka i przez tegoż zredagowanej, ponieważ w tej rozprawie były ustępy, niezgodne z poglądami Becu. Frank wystosował do rektora list, w którym w ostrych słowach prosi o wzbronienie profesorom wtrącania się w nieswoje sprawy, tem bardziej, że poglądy w rozprawie Colignon'a są również poglądami Franka. Niebawem otrzymał wyszukanie grzeczną odpowiedź od Jana Śniadeckiego. Ten niedopuszczenie do obrony rozprawy tłumaczy tem, iż znajdują się w niej ustępy i wyrazy, wykazujące nieuszanowanie względem profesorów, co nie powinno być tolerowane w pracach młodych ludzi, którym przystoi skromność i pokora, tem bardziej, że jedną z chorób narodu polskiego jest właśnie zbyt zarozumiałość i pyszałkowatość. „Musiałem—uszczypliwie powiada Frank—ustąpić wobec choroby narodowej, od której i sam pan rektor nie był ani wolny, ani uleczony”.

Koledzy profesorowie nie gardzili również denuncyacją, zawiada-

miając n. p. kuratora, że Frank, mając obszerną praktykę zamiejską, często na dni kilka bez wiedzy rektora opuszcza miasto i pozostawia studentów bez wykładów.

Z czasem jednak na katedrach wydziału lekarskiego profesorów Niemców jednego po drugim zastępowali Polacy, uczniowie Franka. Ich przyjaźń sowiec wynagradzała go za doznawane przykrości. Zwłaszcza serdeczny stosunek łączył Franka z Herberskim, Homolickim, Abichem i szczególnie z Niszkowskim. Ten ostatni atoli zmarł wskutek pęknięcia tętniaka aorty, na rękach ukochanego profesora, który gorzkiemi łzami oplakał utratę wiernego przyjaciela.



ADOLF ABICHT
profesor Patologii.
Uczeń Franka.

Frank dużo pisał i drukował. Nie możemy w tem miejscu chociażby tylko z tytułów wszystkich jego prac wyliczyć, ponieważ liczą się one na setki.

Niektóre z nich, jak np. „Toksykologia“, zostały przełożone na język polski (przez D-ra Zawadzkiego) i wydane w Warszawie w r. 1815. Od r. 1808 do 1812 wydał Frank w Lipsku „Actae instituti clinici Cesaerae Universitatis Vilmensis“ w 6 tomach. Najkapitałniejszym atoli jego dziełem miało być „Praxeos medicae universae praecepta“. Dzieło to w kilkudziesięciu tomach miało obejmować całą medycynę wewnętrzną, praca jaka dziś zwykle bywa dokonywana przez zbiorowe

siły grona uczonych. Frank miał nadzieję sam podolać temu zadaniu, nie obliczył jednak, że rozpoczynając tak olbrzymią pracę po wyjeździe z Wilna, t. j. będąc już nie młodym, może jej do końca nie doprowadzi, ponieważ nie wystarczy mu życia. Istotnie wyszło z druku 13 zeszytów dzieła, gdy Frank życie zakończył. Również już po wyjeździe z Wilna, mieszkając we Włoszech nad jeziorem Como, napisał po francuzku pamiętniki. Pamiętniki te—w 6 tomach—nie zostały wydane i obecnie stanowią własność Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego. Zawierają nie mało ciekawych szczegółów, rzucających światło na epokę, w której żył Frank, charakterystyki znakomitych osób, z którymi się spotykał, w ich liczbie wielu profesorów Uniwersytetu Wileńskiego, magnatów, duchownych, lekarzy wileńskich, artystów i t. d. Niestety, 5-ty tom został wykradzony i zniszczony przez prof. Pelikana, ponieważ w tym tomie Frank opisał go w sposób bardzo niepoehlebny.

Towarzystwu lekarskiemu, którego był założycielem i długoletnim sekretarzem, Frank poświęcał sporo czasu, spisywał protokoły, prowadził korespondencję, miewał często odczyty, oraz demonstrował chorych i preparaty anatomiczne. Niektóre z jego odczytów były drukowane w Pamiętniku Towarzystwa lekarskiego Wileńskiego, w Dzienniku Medycyny Chirurgii i Farmacyi, w Dziejach Dobroczynności i w Kurjerze Litewskim. Pierwsza Księga protokołów towarzystwa cała została zapisana ręką tego niestrudzonego pracownika.

Jako lekarz, cieszył się Frank w Wilnie wyjątkową popularnością.

Nie potrzebował wyrabiać sobie praktyki, ponieważ sława znakomitego uczonego i szczęśliwego praktyka, jaką sobie w Wiedniu zyskał, poprzedziła jego przybycie na Litwę. To też, jak tylko do Wilna przyjechał, niebawem został obłożony przez tłumy chorych miejscowych i przyjezdnych, szukających pomocy u sławnego lekarza. Wiele ciekawych rzeczy o praktyce wileńskiej opowiada Frank w swych pamiętnikach. Opowiadania te doskonale malują ówczesne stosunki, zwyczaje, poglądy publiczności na medycynę i lekarzy, oraz wzajemne stosunki lekarzy, które wówczas, jak i dziś niestety, wiele do życzenia pozostawiały.

Największą wziętością w owym czasie cieszył się w Wilnie lekarz Jakób Liboszyc, jak powiada Frank, nieuk, lecz sprytny i umiejący wyzyskać swych pacjentów. Odznaczał się wyjątkową chciwością i zawsze wymagał, aby mu poradę lekarską opłacano naprzód.

Jeśli który z pacjentów opuszczał go, a po jakimś czasie pragnął znowu korzystać z jego rad, musiał płacić dwójnasób lub trójnasób, według widzimisię doktora.

Przyjazd do Wilna Franków zagrażał praktyce Liboszyca poważnym niebezpieczeństwem, to też starał się szkodzić, gdzie tylko mógł, swym współzawodnikom, zwłaszcza Józefowi, ponieważ o ojcu jego

było wiadomem, że niedługo w Wilnie zabawi. Sam i przez faktorów, których miał na usługi, rozsiewał najrozmaitsze plotki o młodym profesorze, oraz z najniewinniejszą miną zapewniał swych znajomych, iż jakkolwiek szanuje Franka jako gabinetowego uczonego, nie pochwała jego sposobów leczenia, jako zbyt ryzykownych i niebezpiecznych dla chorego. Paru innych lekarzy, zwłaszcza prof. Becu, również starali się dyskredytować kolegę w oczach publiczności. Becu np., bywając z Frankiem na konsultacjach, pomyślny koniec choroby zwykł przypisywać sobie, zaś śmiertelne zejście Frankowi.



FELIKS RYMKIEWICZ

Profesor patologii i terapii szczegółowej.

Uczeń Franka.

Ponieważ Frank na początku swego pobytu w Wilnie nie mówił i nie rozumiał po polsku i musiał szukać pomocy tłumacza, chorzy, nie znający niemieckiego lub francuzkiego języka, zwykli przychodzić doń w towarzystwie swych stałych lekarzy.

Niektórzy z nich rozmyślnie przeinaczali opowiadania i skargi chorych, wprowadzając dzięki temu nieraz w błąd profesora, po tem zaś triumfowali, gdy Frank omylił się w rozpoznawaniu choroby. Było to tem łatwiejsze, iż w owym czasie, dzięki niedoskonałości fizycznych metod badania, dyagnoza głównie się opierała na opowiadaniu chorego. Pewien lekarz (Szymkiewicz) głosił, jakoby Frank miał mówić,

iż nikt lepiej od niego nie tłómaczy skarg chorego, to też pacyenci, szukający porady u profesora, przepłacali Szymkiewicza, zapraszając go na tłómacza.

Dorobił się w ten sposób w przeciągu krótkiego czasu niezłego funduszu. „W rzeczywistości, pisze Frank, właśnie Szymkiewicza rozumiałem mniej, niż innych”.

Frank posiadał pacyentów wśród wszystkich warstw ludności wileńskiej i nieraz z pałacu magnata zstępował do suteryn nędzarza, lub też wdrapywał się po wązkich i brudnych schodach na poddasze, zamieszkałe przez rodzinę podupadłego rzemieślnika. Chorzy go ubóstwiali, ponieważ wrodzona dobroć serca, miłe obejście i zawsze jednakowo staranne i troskliwe opiekowanie się chorym, bez względu na jego stan majątkowy, rozbudzały bezgraniczne zaufanie. Kilka świetnych uzdrowień chorych, skazanych na śmierć przez innych lekarzy, rozniosły sławę profesora daleko po za granice miasta, to też często wzywano go nawet w odległe strony, do Kowna, Dynaburga, Grodna, Białegostoku i t. d.

Pomimo tak rozległej praktyki Frank zarabiał nie więcej nad 6—7 tysięcy rubli na rok. Przyczyną tego było, iż nigdy się za honorarium nieupędział, zaś publiczność, gdy to spostrzegła, zaczęła wyzyskiwać dobroć i bezinteresowność profesora, licho opłacając wizyty; zwłaszcza żydzi płacili Frankowi bajecznie niskie honorarya, o czem wspomina z dobroduszną ironią. Pomimo to Frank chętnie oddawał się praktyce żydowskiej, pragnąc bliżej poznać żydów litewskich, różniących się pod wielu względami od swych współbraci zagranicznych. Badał ich zwyczajnie, sposób życia, poglądy, język oraz choroby, które — według jego zdania — u żydów odznaczały się wyjątkową typowością. Choć był terapeutą, również dobrze był obznajmiony z innemi gałęziami medycyny, szczęśliwie leczył choroby nerwowe, skórne i kobiece. Ponieważ Wilno nie posiadało okulisty, pojechał do Wiednia i tam z zapalem pracował nad oftalmologią, aby móżdź leczyć i choroby oczne. Korzystał z wpływu, jaki na swych pacyentów wywierał, i śmiało można twierdzić, iż w niektórych przypadkach leczył wprost za pomocą sugestyi. Spisywał szczegółowo historye choroby każdego ze swych pacyentów, a z tych to historyi, łącznie z obserwacyami klinicznymi, korzystał w przyszłości, gdy pracował nad kapitalnem dziełem „Praxeos...“.

Pozostaje nam powiedzieć słów kilka o udziale, jaki brał Frank w życiu towarzyskiem Wilna.

Gród Giedymina za czasów Franka wcale nie był do dzisiejszego podobny. Liczne domy arystokratyczne z marszałkiem hr. Mostowskim na czele, biskup Kossakowski oraz wyższe duchowieństwo, zamożne obywatelstwo, profesorowie Uniwersytetu i akademicy, naostatku generał gubernator i wyżsi urzędnicy nadawali ton życiu towarzyskiemu.

Świetne bale, maskarady, kuligi, uczytynie lukulusowe następowały jedne po drugich. Frank, przystojny i elegancki salonowiec, dobrze wychowany, rozumny, meloman, zawsze dowcipny i wesoly, w krótkim czasie stał się ulubieńcem i duszą towarzystwa. Jeszcze przed jego przyjazdem do Wilna opowiadano tu o dowcipnej odpowiedzi, jaką dał Cesarzowi Aleksandrowi I. Cesarz w czasie pobytu Franka w Petersburgu polecił mu, aby zwiedził szpital wojskowy, z którego cesarz był dumny, i dał swą opinię. Na zapytanie monarchy, jak mu się szpital podobał i czy znalazł tam jakie braki, Frank odpowiedział, iż szpitalem został zachwycony i tylko pragnąłby, aby chorzy tam się znajdujący



KONSTANTY PORCYANKO
profesor Chirurgii.
Uczeń Franka.

byli mniejszego wzrostu, gdyż nie mieszczą się na łózkach, i nogi ich wystają. Cesarz się roześmiał i odrzekł. „Ponieważ nie w mojej jest mocy uczynić chorych krótszymi, rozkażę, aby zrobiono dłuższe łóżka“.

Skoro Frank przyjechał do Wilna, zaczęto go literalnie rozrywać. Przedewszystkiem rektor Uniwersytetu i profesorowie dali szereg objadów ku uczczeniu znakomitego kolegi. Nie pozostał w długu i również wydał świetny obiad, na którym, oprócz wszystkiego, co Wilno posiadało wybitnego, był również obecny Tadeusz Czacki, bawiący tu czasowo. Frank oczarował Wilnian uprzejmością i elegancją, zwłaszcza damy były nim zachwycone i nosiły go na rękach. Zaznaczyliśmy wy-

żej, iż Frank nie był obojętny na wdzięki kobiece i każdej pięknej, rozumnej albo utalentowanej damie składał hold zachwytu, co oczywiście bardzo się podobało. To też i w Wilnie nie zbywało młodemu profesorowi na intrygach miłosnych, i raz omal nie doszło do pojedynku z p. Andrzejkowiczem, bratem żony generał-gubernatora.

Żadna zabawa nie mogła się obejść bez Franka. Obmyślał i rysował stroje dla pań, urządzał żywe obrazy i t. d. Na jednym nawet przedstawieniu amatorskiem sam miał zamiar wystąpić w jakiejś roli komicznej, ledwo prof. Niszkowski powstrzymał od tego przyjaciela, przekładając mu, iż takie wystąpienie nie licowało z godnością profesorską. Pomysłowość Franka na tem polu, jak i na innych, była zdumiewającą. Tak np. wprowadził zwyczaj urządzania tak zw. „uczty stylowych”, wydając ucztę rzymską. Pokój jadalny, sprzęty, naczynia stołowe, ubiory służby były w ściśle rzymskim stylu, zaś gospodarstwo oraz licznie zebrani goście zasiedli do stołu przy dźwiękach harf w strojach patrycyuszów i matron z wieńcami z róż na głowach. To się Wilnianom podobało, i jedna po drugiej następowały uczyty greckie, egipskie, chińskie, tureckie i t. d., co wszystko pochłaniało mnóstwo pieniędzy; z tem atoli w owych czasach nie liczone się. Piękna utalentowana żona Franka, Krystyna, która śpiewem zachwycała Cesarza i Cesarzową, chętnie śpiewała na tych zebraniach i była otoczona rojem wielbicieli. Między nimi najgorętszym był p. Wacław Pelikan (później ostatni rektor Uniwersytetu, w którego dziejach odegrał tak smutną rolę). Podalo to nawet powód do następującego paszkwilu. Frank zamówił litografowane portrety swej pięknej żony i rozdawał przyjaciołom. Niezadługo potem ukazały się w mieście zupełnie podobne litografie, z tym jednak dodatkiem, że pani Frank trzymała na kolanach ptaka..... pelikana.

Znużony zabawami światowemi Frank chętnie szukał sposobności spędzenia wieczora w gronie studentów w jednej z kawiarni. Tu za szklanką kawy lub kuflem piwa miejscowego wyrobu, śpiewał z młodzieżą „Gaudeamus” i spierał się do ochrzypnięcia.

Jedną z licznych zasług Józefa Franka było rozbudzenie w Wilnianach zamiłowania do muzyki.

Sam będąc zapalonym melomanem i znawcą muzyki, znalazł w Wilnie kilkanaście osób muzykalnych i zaczął urządzać koncerty amatorskie, przeznaczając dochód na cele dobroczynne. Zyski zaś z koncertów bywały znaczne i nieraz osiągały paru tysięcy rubli, ponieważ magnaci hojnie płacili za bilety. Tak np. na jednym z koncertów hrabia Platon Zubow wysypał kilka garści dukatów przed panią Lachnicką, która sprzedawała programy.

Clinices ambulatoriae, instytut macierzeństwa, instytut wakcynacyi, towarzystwo przeciwżebrazce,—powstały właśnie z sum, zebranych z koncertów, które bardzo się publiczności wileńskiej podobały.

Frank osobiście uczył śpiewaków oraz orkiestrę, pisał libretto i obmyślał kostiumy. Koncerty przeważnie odbywały się w Casino w domu Millera (obecnie Słotwińskiego) przy ul. Niemieckiej.

Największe powodzenie miał koncert, urządzony przez Franka w ratuszu, na którym 150 osób wykonało „stworzenie świata“ Haydna. Aby ułatwić publiczności śledzenie myśli kompozytora, rozdano libretto, napisane wierszem po polsku przez Ksawerego Chomińskiego, znanego tłumacza poetów francuzkich i niemieckich. W celu spotęgowania wrażenia salę koncertową przystrojono w ten sposób, iż wyobrażała świątynię. Obecny na koncercie sławny muzyk i kompozytor, Steibel, był zachwycony i powiadał, że nic podobnego nie zdarzyło mu się jeszcze widzieć.

Sala nie mogła pomieścić wszystkich, pragnących usłyszeć to arcydzieło. Wobec tego dnia następnego koncert powtórzono i otrzymano czystego zysku przeszło 2 tysiące rubli; te pieniądze przeznaczył Frank dla 3-go wydziału Towarzystwa Dobroczynności.

Takim był Józef Frank. — Dodamy tylko, że, spędziwszy w Wilnie 20 lat, wyuczył się płynnie mówić po polsku, pokochał Litwinów i Litwę, którą nazywał swą drugą ojczyzną i do której, mieszkając we Włoszech, tęsknił. Gdy w Uniwersytecie Wileńskim zapanowały nowe prądy, a Pelikan nabierał coraz większego znaczenia, Frank, nie mogąc się pogodzić z nowymi porządkami, opuścił w 1823 r. nazawsze Wilno i zamieszkał we Włoszech we własnej willi nad jeziorem Como. Tu pracował nad swem dziełem „Praxeos...“ i spisał pamiętniki. Nie przyjął czynionej mu przez Pelikana propozycji, aby do Wilna powrócił.

Zmarł 6 Grudnia 1842 r. Gdy o zgonie Franka przyszła wiadomość do Wilna, staraniem członków Towarzystwa Lekarskiego odbyło się w kościele uniwersyteckim Ś-go Jana nabożeństwo żałobne. Celebrował biskup Cywiński, zaś orkiestra złożona z amatorów i chór śpiewaków katedralnych wykonali requiem Kozłowskiego. Mowę pogrzebową wygłosił kanonik Borowski. Wielu z obecnych, którzy Franka pamiętali i zawdzięczali mu nie mało, rzewnie płakało.

Wspaniały katafalk przedstawiał pomniki, ozdobiony 3-ma napisami łacińskimi oraz bardzo podobnym wizerunkiem Franka. Wspomnienie o tym zasłużonym mężu dotąd w Wilnie nie wygasło i w wielu domach można spotkać jego portrety. Najlepsze olejne znajdują się w Towarzystwie Dobroczynności i w Towarzystwie Lekarskim, które posiada również duży brązowy medal, wybity w Paryżu na cześć Franków. Józef Frank przekazał ten medal testamentem Towarzystwu lekarskiemu Wileńskiemu. Przechowuje się zwykle u prezesa Towarzystwa jako insygnium jego godności.

O C E N Y.

Pamiętnik jubileuszowy wydany ku uczczeniu dwudziestopięcioletniej działalności prof. Edwarda Sas Korczyńskiego przez byłych Jego uczniów.

Kraków 1900 r. str. 242+557.

W roku bieżącym mury prastarej wszechnicy Jagiellońskiej podwakość rozbrzmiewają uroczystym echem obchodów jubileuszowych. Gdy bowiem pięć mija wieków od założenia tej kolebki nauki polskiej, która w ciągu tego czasu niejedno wychodowała nazwisko, chlubnie znane w świecie, to skromniejszy daleko jubileusz, bo 25-letni, obchodzi jednocześnie w pełni sił profesor Korczyński — jedno z tych nazwisk, które, ofiarując wszechnicy swą pracę zmuzną i zdolności niepowszednie, udzielił jej części swoich zasług i opromienił blaskiem swojej sławy. Niemniej to jednak świetny i zasłużony jubileusz. O sławie bowiem i znaczeniu instytucji naukowej stanowi nie czas jej istnienia i nie środki materyalne, lecz siła duchowa i poświęcenie jednostek, które, składając po cegiełce swej pracy, wznoszą wspaniałą i chwałę narodu głoszący gmach wiedzy. Jednostką taką jest właśnie profesor Korczyński. Nie mogli go też godniej uczcić byli uczniowie jego, jak ofiarując mu w tak uroczystej chwili trwałą pamiątkę — zbiór swoich prac w postaci okazałej księgi pod powyższym nagłówkiem.

Księga—oprócz szeregu prac naukowych uczniów jubilata—zawiera bardzo ciekawy zarys historyczny kliniki lekarskiej krakowskiej, od jej założenia aż do czasów ostatnich, skreślony piórem docenta Ludomiła Korczyńskiego i Adama Schmidta. Zarys ten najlepiej może uwydatni zasługi Korczyńskiego, dla podniesienia znaczenia wydziału lekarskiego i wszechnicy położone.

Klinika stan swój obecny dwom głównie osobom zawdzięcza: Dietlowi i Korczyńskiemu. Ci dwaj profesorowie były to potężne dźwignie, które stanowisko kliniki krakowskiej podniosły do wysokości poziomu klinik europejskich. Gdy bowiem z jednej strony Dietl otworzył podwoje swojej kliniki na oścież dla najnowszych prądów medycyny europejskiej, a jej myśl i dorobek w swojską przybrał szatę, to z drugiej strony Korczyński uczynił krok bardziej samodzielny, gdyż w rozwoju umiłowanej medycyny czynny bierze udział, stając na czele własnej szkoły, t. zw. krakowskiej.

Drogi i sposoby, jakimi jubilat cel ten osiągnął, szczegółowo są w tej części historycznej wyłożone.

W dalszym ciągu znajdujemy w książce wykazy imienne uczniów i asystentów w ciągu ostatnich lat 25, oraz spis prac, wykonanych w tym okresie czasu w klinice krakowskiej.

Drugą połowę książki wypełniają 34 rozprawy naukowe byłych uczniów profesora, zajmujących obecnie wybitne po części stanowiska w nauce. Znajdujemy tu prace nie tylko z zakresu medycyny wewnętrznej, lecz także z chirurgii i gałęzi pokrewnych, prace chemiczne, anatomico-patologiczne i farmakologiczne. Z pośród tych ostatnich na uwagę zasługuje artykuł prof. Jaworskiego, p. t. *Aquae minerales--Aquae medicinales*, w którym autor twierdzi, iż wody mineralne naturalne dadzą się w zupełności zastąpić przez sztucznie przygotowane roztwory solne, racjonalnie złożone. Jaworski jest zdania, że wody mineralne zawierają prawie zawsze pewną zbyteczną całkiem ilość składników, zupełnie dla ustroju obojętnych albo nawet szkodliwych, składniki zaś działające nie zawsze znajdują się w tych wodach w ilości stosownej i dostatecznej do działania.

Stanisław Klejn.

* * *

Zbiór prac z kliniki lekarskiej uniwersytetu lwowskiego, pod dyрекcją profesora D-ra A. Gluzińskiego. Zeszyt I 1899 i zeszyt II; 1900.

Krótkie istnienie kliniki lekarskiej uniwersytetu Lwowskiego znaczyło się już całym szeregiem prac naukowych (w ilości 16), zebranych w dwa zeszyty.

Okoliczność ta pozwala nam już teraz zapoznać się w pewnej mierze z kierunkiem naukowym, obranym przez zarządzającego kliniką prof. Gluzińskiego i z wynikami jego pracy na nowym polu. Przewszystkiem prace powyższe wskazują, iż klinika lwowska stanęła odrazu na bardzo wysokim poziomie, czego dowodem są badania Moraczewskiego i Marischlera nad przemianą materii, bardzo konsekwentnie, krytycznie i ze zrozumieniem celu przeprowadzone. Zapoczątkowane przez klinikę krakowską studia nad fizjologią i patologią przewodu pokarmowego znakomicie przyjęły się na nowym gruncie, uprawianym przez pracowników, którzy w dalszym ciągu wzbogacają tę gałąź nauki bardzo cennymi przyczynkami. Więckowski więc bada doświadczalnie i klinicznie zmiany w czynności żołądka, występujące przy zaburzeniach ze strony jelit, prof. zaś Gluziński usiłuje wyjaśnić nam tak ciemną dotychczas etiologię wrzodu okrągłego żołądka, upatrując początek jego w powierzchownych nadżerkach błony śluzowej. A i hematologia kliniczna, którą tak często zajmowała się klinika krakowska, w nowej klinice z zamiłowaniem i skutkiem jest uprawiana. Z pośród kilku prac, tej materii poświęconych, zwrócę uwagę na pracę Eljasza - Radzikowskiego nad zachowaniem się krwi w niedokrwistości urazowej, gdzie autor dochodzi do słusznego zupełnie wniosku, że

i w niedokrwistości urazowej krew może przedstawiać wszelkie cechy jakie znajdujemy w niedokrwistości złośliwej.

Kazuistyka w pracach kliniki lwowskiej mało stosunkowo zajmuje miejsca; natomiast widnieje dążność do wszechstronnego wyzyskiwania materiału i spożytkowania go dla studyów o zakresie szerokim.

W ogóle młoda klinika dotychczas chlubnie znaczy swe pierwsze, kroki na polu naukowem; spodziewać się więc należy, iż w przyszłości nie tylko dorówna swej macierzy, ale i wywalczy sobie stanowisko samoistne w nauce.

Stanisław Klejn.

* * *

O najnowszym słownictwie anatomicznem naszym.

(Ciąg dalszy).

Temu to naśladownictwu nieszczęsnemu mianownictwo anatomiczne nasze zawdzięcza już miana w rodzaju *oczodółów*, *zębodółów* i t. p., żywcem z języka niemieckiego wziętych, a będących w naszym po prostu potworami. Weszły jednak już do tyła w użycie powszechne, między lekarzami przynajmniej, że trudnoby było usunąć je dziś, chociaż, pomysławszy nad tem, z pewnością znaleźlibyśmy dla nich nazwy lepsze, swojskie. Język *Mickiewicza* i *Słowackich* nie jest tak ubogi, żeby aż musiał w sposób nieudolny małpować obce, potrafi on wyrazić dobrze po swojemu wszystko, co powiedzieć trzeba i to nie tylko w poezyi, ale i w nauce, należy tylko chcieć i umieć władać nim, jak przystało.

Szkoda wielka, iż przyrodnicy i lekarze nasi, lekceważący sobie zwykle filologię, zarówno klasyczną, jak nowożytną, ponieważ nie znają ich dostatecznie, zapominają tak łatwo o zasobach języka własnego i zamiast wejść na drogę jedynie dobrą, chociaż nie przeczę, że uciążliwszą, szukania w skarbnicy ojczystej nazw odpowiednich, wolą tak często wbrew zasadom języka pożyczać i tłumaczyć je zbyt dosłownie z języków obcych, albo popełniać barbaryzmy, niczem usprawiedliwić się nie dające. Tak postąpił sobie *Noisewski*; zapatrzony na słownictwo niemieckie i zachęcony widocznie przykładem już przyjętych wyrazów takich, jak *oczodół*, obdarzyć nas zapragnął *czaszkojamem*, *siodłooponą*, *skleposłupami* i t. p. szpetnymi bardzo wyrobami, z duchem języka naszego zgoła niezgodnymi, ale, prawdę mówiąc, o włosie nie gorszymi od znoszonego od dawna *oczodolu*. Wadliwość jednak nazw jego jest zbyt widoczna, zanadto razi nawet przytępienie poczucie własności mowy naszej, więc nie potrzeba mieć obawy, że kiedykolwiek mogłyby uzyskać rozpowszechnienie — chociaż ręczyć i za to nie można.

Daleko niebezpieczniejsze od takich tłumaczeń bywają dla języka porywy innych poprawiaczy mianownictwa, występujących jużto w imię przesadzonej lub źle pojętej czystości języka, jużto w imię jednolitości i ścisłości naukowej, ale zapominających przytem o zasadach języka swego. Do wymienionych na pierwszym miejscu należał F. K. Skobel, przekraczający nieraz w swej pogoni za wyrazami swojskimi granice dozwolone i docierający często aż do śmieszności. Śmieszną była wiara jego w to, że *kontryfal* (cynk), *alona* (aloes), *surnat* (sublimat) i t. p. są nazwami czysto polskimi. Śmieszne też było tłumaczenie nazw miejscowości takich np. jak *Kissingen*, *Kreuznach* na *Kisięga* i *Krzyżnak*. Nikt mu pochwalić nie może wyrazów: *zlotodziejstwo* (alchemia), *rękołekarz* (chirurg), *członkownictwo* (anatomia), *oczownik* (okulista), *ręczizna* (amalgama) i t. p., każdy jednak znający się bliżej z mianownictwem lekarskiem naszym, przyzna mu chętnie, że w wielu bardzo razach oddał mu przysługi rzetelne i trwałe, trzeba mu więc śmieszności jego wybaczyć. Skobel, kochający język swój bez granic, nie znał go mimo to należycie, brakowało mu podstawy filologicznej i to było przyczyną główną błędów jego. Znalazłszy, czy to w słowniku czy w księdze jakiej dawnej, nazwę zapomnianą, chociażby nawet niestosowną lub źle urobioną, byleby miała pozór polskości, zaraz był gotów wskrzesić ją i językowi żywemu przywrócić; z drugiej znów strony, jako wróg zacięty wszelkich wyrazów obcych, nawet od dawna bardzo przyswojonych i zrozumiałych ogólnie, chciał je koniecznie zastąpić przez swojskie, a tych nie robi się, jak wiadomo, na zawołanie, przynajmniej nie robi się ich dobrze. Mimo to wszystko Skobel obdarzył nas wielce cennym materiałem mianowniczym, w którym, po wywianiu plew, znajdujemy bardzo wiele ziarna najzdrowszego, przeważającego plewy o wiele.

Do rodzaju drugiego należy Krysiński, z pewnością nie lepiej od Skobla obeznany z zasadami słowrodo polskiego, a stanowczo mniej od niego odczuwający właściwości mowy naszej i mniej owiany jej duchem, nadto zapatrzony zbyt na wzory obce i niewolniczo do nich przywiązany, a na domiar wszystkiego panuje nad nim jeszcze skłonność przesadzona do jednolitości i ścisłości mianownictwa, ale nie stara się wymagań swych, do pewnego stopnia słusznych, zaspokoić za pomocą środków przez język sam obficie dostarczanych, a wedle zdania mego wystarczających, lecz usiłuje dojść do celu przez narzucanie nam prawideł językowi naszemu przeciwnych. O ile to dotyczy przymiotników jego, tuszę sobie, że m zdołał przytoczyć wystarczającą ilość dowodów popierających me zdanie.

Potępiając samowolę autora, widoczną w narzucaniu nam zakończeń przymiotników, przez język nasz ani wymaganych, ani nawet dozwolonych, nie myślę bynajmniej zaprzeczać, iż czasem trafniejszy umiał

dobrac sobie przymiotnik, niż niejeden z poprzedników jego. Nie śmiałbym mu też nigdy zganić wymagania, żeby przymiotnik wyrażał o ile możności jasno, czy to przynależność, czy podobieństwo, czy nakoniec twór z pierwotnika, albowiem to żądanie jest logicznie słuszne, a sądzę, że można je urzeczywistnić zawsze, bez uciekania się do prawideł nadzwyczajnych, językowi obcych, więc i wadliwych

Skończywszy rzecz o przymiotnikach K r y s i ń s k i e g o, należy się wtrącić tu jeszcze słów kilka o użyciu ich przez autora „A n a t o m i i c z a s z k o j a m u“, ponieważ w ocenie pracy tej mowy o nich nie było. Z góry spodziewać się można, iż przymiotniki N o i s z e w s k i e g o zgadzać się będą z cudackimi rzeczownikami jego i tak też jest w istocie. Zasada geometryczna, przyjęta przez autora, i na nie rzuciła swe zabarwienie, spotykamy się więc z takimi ślicznościami jak: *podmózgoprzodowy* (str. 36), *podmózgoprzedbokowy* (str. 37), *przedmózg-zabokowy* (tamże), *podmózgopozadowy* (tamże), *odnadoczodolowy* (str. 5), *międzyklin'odkostowy* (str. 10), *naduchowy* (str. 11), *uchowy* (str. 12), *zauchowy* (tamże) *domózgotętnicowy* (str. 13), *odokotwarzowy* (str. 24), *dookowy* (tamże) i t. p. Większość swych przymiotników N o i s z e w s k i kończy wogóle na *owy*, *owa*, *owe*, nie przywiązując jednak widocznie do końcówki tej znaczenia szczególnego, dla tego też spotykamy u niego na równi zupełnie, np. *zlewny* (str. 26), i *zlewowy* (str. 14). Zamiast *podniebienny*, stale pisze *podniebny*, zamiast *szczękowy*, zawsze *szcząkowy*, posiada też przymiotniki przez siebie wynalezione takie, jak *potyłowy*, (str. 5) *chrząstowy* (str. 5), *stronowy* (passim), i *przedstronowy* (str. 32), oraz *średniowy* (passim), tworzy też od nich przysłówki *średniowo* i *stronowo*. Oto i najważniejsze, co o przymiotnikach jego powiedzieć można; są to po większej części dziwadła na równi stojące z rzeczownikami, a nie zasługujące na to, żeby się nad nimi dłużej zastanawiać.

Po tem zboczeniu wróćmy raz jeszcze do „Uwag“ K r y s i ń s k i e g o. Kończy je temi słowy:

„Nie moją jest rzeczą sądzić, o ile słusznie i szczęśliwie wyrażone tu zasady przeprowadzić zdołałem; wiem tylko, żem się o to najusilniej starał, wiem również aż nadto dobrze, że żadna rzecz ludzka wolną od usterek być nie może, ale wiem i najmocniej o tem jestem przekonany, że najgorsze nawet słownictwo, byle jednolicie przeprowadzone i ogólnie przyjęte, jest zawsze stokroć lepsze od obecnego, pełnego dowolności i prowadzącego do zamieszania“.

„Przy przejściu ze słownictwa dowolnego do jednolitego każdy musi złożyć coś ze swoich upodobań na oltarzu wspólnego dobra i wzajemnego porozumienia, każdy z nas musi się przyzwyczajać i oswajać z tem nowem słownictwem, mam jednak nadzieję, że dbałość o czystość i ścisłość języka, którym mówimy, trud ten nam osłodzić i do poniesienia go skłonić nas potrafi“.

To przemówienie autorskie jest bardzo znamienne. Nad wylewem skromności, rozpoczynającym je, zatrzymywać się nie mamy potrzeby, zwykła to w takich razach moneta zdawkowa; ale zastanowić się warto nad zdaniem dalszemi, już o sto mil oddalonymi od skromności wszelkiej i tchnącemi zarozumieniem niezwykłym.

Naprzód częstuje nas autor twierdzeniem, niczem nie popartem, że n a j g o r s z e nawet słownictwo, byle jednolicie przeprowadzone (dla złagodzenia dodano „i ogólnie przyjęte“, jest zawsze stokrotnie lepsze od dotychczasowego, któremu gołosłownie, i to nie poraz pierwszy w tem miejscu, zarzuca dowolność, utrzymując, że wiedzie do zamieszania. Jakiegoby mianowicie rodzaju mogło być zamieszanie owo, nie raczył objaśnić. Zarzuty tego rodzaju stawiać wolno, ale w takim razie tylko, jeżeli się składa równocześnie dowody ich słuszności. Ale mniejsza o to. K r y s i ń s k i ułożył „słownictwo jednolicie przeprowadzone“, że go z pewnością sam do najgorszych nie zaliczył, to niewątpliwe, a że wie i najmocniej jest przekonany o tem, że nawet najgorsze słownictwo tego właśnie rodzaju jest stokrotnie lepsze od dotychczasowego, więc?... no, rozumie się, przyjąć je trzeba z wdzięcznością; przecie sam powiada nam najwyraźniej, że k a ż d y m u s i złożyć coś ze swoich upodobań (?) na ołtarzu wspólnego dobra, którem widocznie w wyobrażeniu autora jest słownictwo jego, że k a ż d y m u s i przyzwyczajając i oswajając się z tem nowem słownictwem. — Α β τ δ ε ζ η α — więc bez gadania słuchać i kwita.

Gdybyśmy byli pytagorejczykami, argument taki, wyszły z ust mistrza, mógłby nam wystarczyć może i skłonić nas do posłuszeństwa; gdy jednak nimi nie jesteśmy i gdy pomiędzy powagą K r y s i ń s k i e g o a powagą P y t a g o r a s a istnieją też pewne różnice, więc nie jesteśmy zgoła obowiązani wierzyć mu ślepo na słowo, ani też poddawać się wyrzeczeniom jego, tem mniej, że zadrwił sobie z nas chyba, wypowiadając nadzieję, iż dbałość o czystość i ścisłość języka ojczystego skłonić nas potrafi do przyjęcia w całości słownictwa jego. Zaiste, to drwiny, albo zamieszanie pojęć! — Kto w imię po swojemu pojętej jednolitości i ścisłości mianownictwa anatomicznego, sili się narzucić językowi naszemu wyrazy takie, jak *głowowyy, rękowyy, okowyy, ucho-wyy* i t. p.; kto, jak to jeszcze zobaczymy, dopuścił się innych jeszcze przewinień przeciwko językowi ojczystemu, ten bardzo musi być zaślepiony, jeżeli myśli, że wolno mu narzucać pomysły swoje w imię jego czystości, przez siebie tak pokalanej. Nie! — właśnie każdy, kto dba o tę czystość choć trochę, sprzeciwić się musi, i to najbardziej stanowczo, słownictwu temu, jako całości, nie odrzucając wszakże tego dobrego, które w niem, obok wad i przekroczeń przeciw duchowi języka, znaleźć może.

Na tem kończę długą bardzo ocenę mą *Uwag nad słownictwem*

anatomicznem K r y s i ń s k i e g o; jest dłuższa od Uwag samych; inaczej jednak być nie mogło. Gołosłownych twierdzeń autora nie można było zbyć równie gołosłownymi zaprzeczeniami, lecz trzeba było zbijać je dowodami. Oprócz tego nasuwały się uwagi inne, dotyczące wogóle zasad mianownictwa nietylko anatomicznego, więc nie umiałem wstrzymać się od wypowiedzenia ich, gdy się po temu sposobność nadarzała. Jeżeli kogo znudziłem, to go za to przepraszam i zwracam się teraz do rozbioru i oceny niektórych przynajmniej szczegółów ważniejszych Słownikta samego.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Dr. med. *Józef Peszke.*

OGŁOSZENIE.

Komitet Kasy Wsparcia podupadłych lekarzy oraz wdów i sierot biednych po lekarzach pozostałych

podaje do publicznej wiadomości, że w końcu r. 1899 i na początku r. 1900 do funduszu żelaznego ogólnego i funduszków specjalnych Kasy Wsparcia wpłynęły następujące ofiary:

1) od D-ra Alfreda Sokołowskiego na fundusz wieczysty imienia zmarłej jego małżonki ś. p. Zenobii Sokołowskiej Rb. 3500.

2) od Doktorowej Aleksandry Braunowej dla uczczenia pamięci zmarłego jej męża ś. p. D-ra Jana Brauna Rb. 1000.

3) od W-nej Augusty Eibel w wykonaniu woli jej brata ś. p. D-ra Wilhelma Bando, zmarłego w m. Zgierzu Rb. 500.

4) od D-ra Maurycego Likiernika z m. Łodzi Rb. 150.

5) od D-rów Flatau i Męczkowskiego przy otwarciu lecznicy chorób nerwowych w Warszawie Rb. 100.

6) od D-ra Kijewskiego jako resztę pozostałą z funduszu złożonego przez grono kolegów na uczczenie 35-cio letniej działalności nauczycielskiej Prof. D-ra Juliana Kosińskiego Rb. 330.

7) od D-ra Śliwickiego, sumę złożoną przez uczestników wydawnictwa czasopisma „Medycyna“ i członków lecznicy ginekologicznej, dla uczczenia pamięci zmarłego D-ra Jakóba Rogowicza Rb. 250.

Komitet ma zaszczyt złożyć ofiarodawcom serdeczne podziękowanie za zasilenie funduszków tej dobroczynnej lekarskiej instytucji.

*Członek Towarzystwa,
Zarządzający Kasą Wsparcia Dr. M. Jakowski*

W sprawach, dotyczących prenumeraty, ekspedycji i w ogóle administracji pisma, proszę odnosić się pod adresem: *ulica Wilcza Nr- 12, W-na Dr. Stanisława Popławska.*

Redaktor i Wydawca *Zygmunt Kramsztyk, Nowo-Senatorska 8.*

2